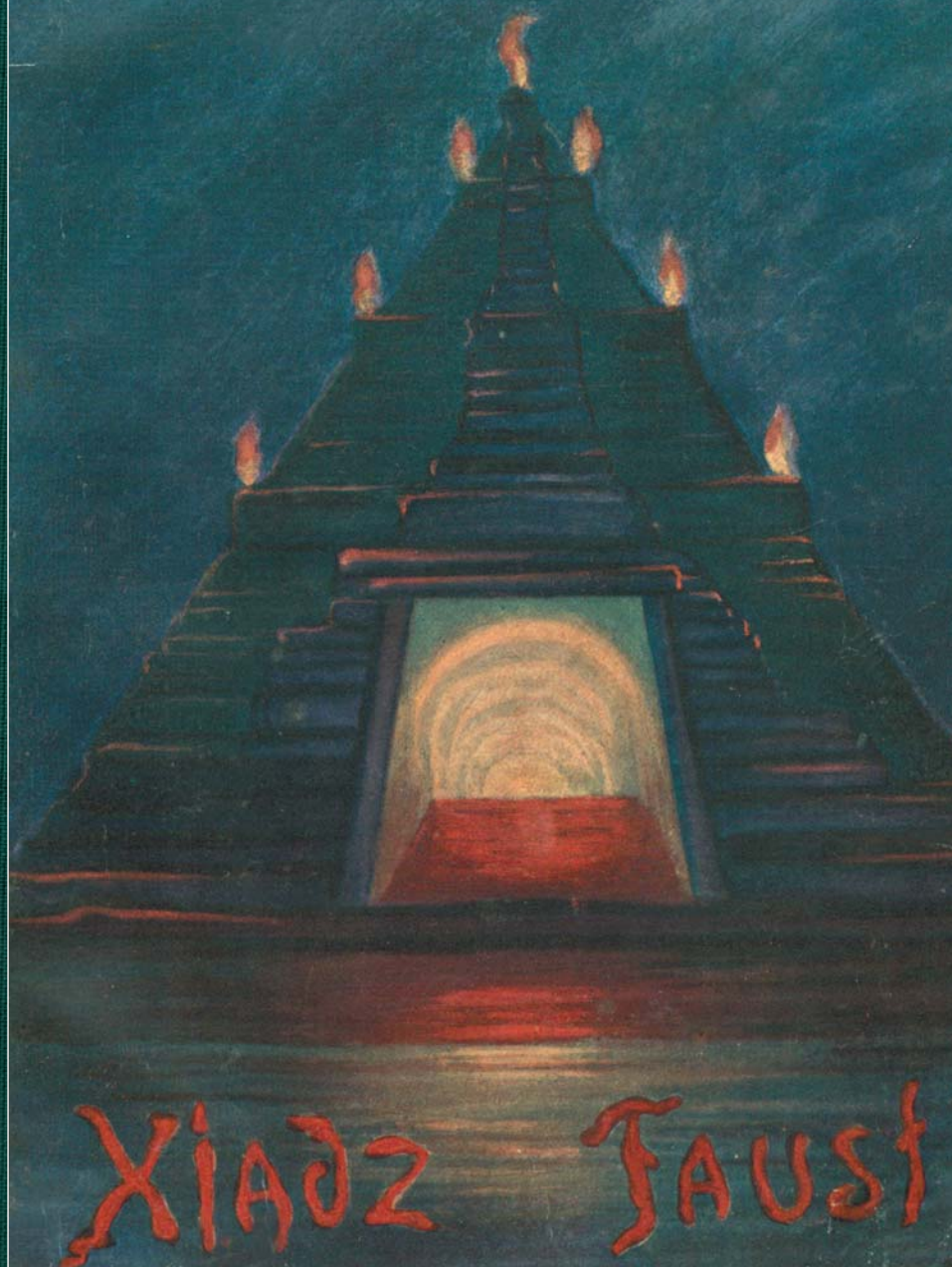


Tadeusz Miciński



universitas

XIAOZ FAUST

T a d e u s z M i c i ń s k i

XIADZ FAUST

opracowanie tekstu,
przypisy i posłowie
Wojciech Gutowski

KRAKÓW

© Copyright by Wojciech Gutowski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2008

ISBN 97883-242-1000-8
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Wykorzystano okładkę pierwodruku autorstwa Konstantego
Zacharkiewicza

Stanisław Ignacy Witkiewicz, Ilustracja ks. Fausta i Imogeny

Jan Rembowski, Ilustracja zburzenia Mesyny

...– Życie na każdego z nas woła : – Bądź mężem i nie idź za mną, jeno za sobą! Jeno za sobą!

Bądźmy wolni i nieustraszeni, w niewinnej samorodności z siebie samych rośnijmy i kwitnijmy! –

I oto gdy spoglądam na takiego człowieka, dzwonią mi w uchu dziś jeszcze, jak niegdyś, te same zdania: „że namiętność lepsza jest od stoicyzmu i obłudy; że być uczciwym nawet w złym, to lepiej niż zatracić samego siebie w obyczajności, przekazanej zwyczajem; że wolny człowiek może być równie złym jak dobrym; że jednak niewolny człowiek jest hańbą natury i w żadnej nie uczestniczy niebiańskiej czy ziemskiej pociesze; wreszcie, że każdy, kto chce być wolnym, musi stać się nim przez samego siebie, i że nikomu wolność, jak dar cudowny, nie spadnie w podolek”.

(Z Wiedzy radosnej, 137)



I. SZLAKIEM PRADZIADÓW

Zmieniał Piotr kilka więzień prowincjonalnych jedno za drugim, gdzie konfrontowano go z różnymi politycznymi.

I teraz, w eskorcie żandarmów, miał dojechać do stacji kolejowej, by pociągiem ruszyć do więzienia dyscyplinarnego na pograniczu Rosji i dawnej R-tej. Wiedział, że będzie to już dla niego kresem, gdyż tam czyha jego zażarty wróg, też z obywatelskiej rodziny.

Ten wyda nareszcie jego prawdziwe nazwisko, jak mu to przyrzekł.

Jadąc w mroku, przeżywał Piotr bolesne, głęboko wryte wspomnienia.

Przystojnym, zuchwale cynicznym paniczem był ów wróg Piotra – w sali śledczej rozglądał się po więźniach, gestem ręki, ubranej w pierścienie, wydawał szczegóły, jak niejaki Skała zabijał kolbą od mauzera jednego z robotników, który zaczął wsypywać; jak potem z nadzwyczajną zimną krwią poszedł grać w szachy przed oczyma licznej publiczności w kawiarni...

Mówiąc to, Kondor zmrużonymi oczyma patrzył, już tylko jedno słowo – zerwie maskę i pod przejrzystym mianem Skały wyjawia Piotra.

Niedawno Kondor należał do partii i był jednym z główniejszych, ale związał się z kochanką i uznał wtedy, że partia płaci za mało.

Bo jakże utrzymać się z trzydziestu pięciu rubli, kiedy do tego jest bachór?

Kondor nie mógł przejść spokojnie obok swego dwuletniego dziecka, aby go nie kopnął nogą.

Nieustraszony i bystry, choć zawsze z nutą znikczemnienia, należał do wypraw na pociągi, gdzie wieziono wielkie wory, napelnione złotem lub sturubiówkami.

Kiedy bojówka zaczęła demoralizować się, pierwszy utworzył bandę rozbójniczą i zaczął na własną rękę napadać dwory i karczmy, oblewać naftą Żydówki i podpalać, albo skrępowawszy je wprzód na łożu, zalewał im twarz witriolem; wtedy zaczęli go ścigać rewolucjoniści jeszcze zacieklej niż wojsko.

Obległa go raz sotnia kozaków w starej kuźni i po śmiałej wymianie wszystkich strzałów w dwóch brauningach, które miał przy sobie, zrozumiał, że jeśli chce dalej żyć, pozostaje mu tylko...

Wyszedł, białą chustką powiewając, i rzekł do rotmistrza kilka słów, które uchroniły go od natychmiastowego zasiekania nahajami; rozwściekani byli

oporem jedynego człowieka w kuźni, gdzie kozacy spodziewali się z gęstości i celności strzałów całej partii.

W więzieniu zaczął wyjawiać, a że wiedział wszystko do najdrobniejszych szczegółów, że nigdy nie zmylił się ani nigdy nie skłamał, policja uzyskała naraz wejście i orientację we wszystkich labiryntach...

Kilkanaście szubienic zadrgało od konwulsjami targanych ciał.

Kondor odsiadywał swe domowe więzienie, strzeżony raczej dla bezpieczeństwa przed rewolucjonistami niż przez karę.

Tam w sali śledczej mierzył Piotra od czasu do czasu błyskami swych zuchowałych spojrzeń – mimo iż wzrok tamtego groźną zadumą okryty patrzył w niego prosto, jakby wzrok Danta, mierzący niechlujną lodową czeluść złośliwego Demona.

Wreszcie adwokat, poruszony tym, że słowa Kondora kosiły każdym swym zamachem życie mnóstwa ludzi i rodzin – zwrócił się do niego z wyrzutem:

– A czyliż pan nie byłeś między nimi? i pan miałeś niegdyś wysokie porwy do ujrzenia ludzkości wolną, równą, szczęśliwą! pan teraz gubisz tych ludzi, których podżegałeś – między którymi uznałeś się godnym za wodza – których opuściłeś, aby grabić i zbójcko hulać po dworach! Kiedyż zamilknieysz?

– Panie prisiażnyj powieriennyj! moje sumienie nie należy do pana! jedno tylko mnie zmusi do milczenia – odrzekł szyderczo Kondor – a tym jest kula w łeb! Dopóki ta mi nie przejdzie mózgu, będę korzystał z moich praw do życia! –

I zaczął dalej ciągnąć historię całego ruchu w guberni.

Ukończone śledztwo. – –

Do celi samotnie siedzącego Piotra wszedł Kondor, bystro badając, jaki ruch uczyni więzień.

Lecz ten, podniósłszy wzgardliwie głowę, znowu opuścił ją ku leptonemu z chleba więziennemu posążkowi.

– *Eh bien, cheri* – zaśmiał się Kondor – marzysz o kobiecie, pora by wyjść, co?

– Proszę wyjść.

– Wybacz, że usiądę. A tak zdawałoby się niedawno mówił ci jeszcze nauczyciel Anfonow: Piotr takoj to, za dikoje nachalstwo dwadcat' czetyrie cza-sa w karcerie! pamiętasz, jak ja ściągałem od ciebie wypracowania, ale za to ty uderzyłeś mnie w twarz za jakiś mój niewinny koncept o rozgniatanych poziomkach na twarzy twej siostry.

– Wyjdź pan z mej celi.

– W kółku naszym samokształcenia byłeś pierwszy. Zawsze starałeś się mnie upokorzyć – na przykład w tej dyspucie na tle Spencera o ewolucji i dysolucji! Powiem prawdę, nie starałeś się, ale przychodziło ci to mimo woli...

Czytałeś potajemnie Ramajanę i miałeś się za bohatera z rasy słonecznej dawnych Ariów.

W trzech słowach kończę – rzekł wobec powstającego z krzesła Piotra. – Moja kara już mija, prędko będę wolny. Udziel mi, bracie, polecającego listu do Twej siostry. Chciałbym zmienić życie. Znasz mnie, że nie mam w sobie nic z gruboskórności Pochronia. Namówię ją na wyjazd za granicę, zajmiemy się sztuką. Zawsze frapowały mnie łacińska wymowa, francuskie malarstwo i okultyzm. Twoja siostra to jakby Diana Vaughan i za pomocą jej objawień zwiedzimy niejednego papieża Leona XIII!

– Miotnął się Piotr, ale jego wyniosła postać, blond kędziory i cudna rycerska twarz mogły się stać tylko symbolem groźby, gdyż kajdany, rzemieniami ściągnięte, przykuwały mu ręce do pasa.

Wzrok gorejący wpił w agatowe, jasne szybki Kondora.

– Idź zdradzić – dwóch na świecie nas żyć nie może.

– Według życzenia pańskiego. Czy ono jednak dotrwa czasu, gdy, rozbity fizycznie i moralnie, znajdziesz się pan w więzieniu dyscyplinarnym? to dopiero zobaczymy. W każdym razie ja tam już będę czekał – i postawię wtedy ultimatum.

Ale żebyś nie był zbity tej nocy przy indagacji, objaw mi dobrowolnie hasło, przy pomocy którego porozumiewałeś się z dostawcami broni nad granicą!

Pomyśl, Piotrze, masz dopiero lat dwadzieścia i dwa. Jeśli będę milczał, dostaniesz wszystkiego piętnaście lat katorgi. Cóż to wielkiego? wyjdiesz, mając lat trzydzieści siedem. Pełnia życia. Zresztą, towarzysze ułatwią albo amnestia... Ślubuję ci, że od twej siostry wydebiwszy pieniądze, dostarczę i tobie. Ona już tylko jedna wie, gdzie jest zakopany półmilionik. Wybrała Wenecję. Maluje teraz cmentarz na wyspie, gdzie czarne gondole, marząc na zielonej wodzie w zachodzącym słońcu, wsuwają się między gąszczu uroczystych mrocznych cyprysów... Widzisz, wiem dokładnie o niej... – Razem popchniemy naprzód narodową kulturę... założymy teatr. A pieniądze wszystko potrafią – tocząca się potęga, według Tołstoja, a jak mówi Szekspir w „Kupcu weneckim” – to skupiona krew! – –

Piotr rzucił się ku drzwiom i ramionami gwałtownie walił o żelazne drzwi.

Na ten rumor wpadli dozorca.

– Proszę poświecić temu panu na schodach – rzekł dyszącym głosem, wskazując końcem nogi okutej w łańcuch w stronę Kondora. – I jakim prawem tu wchodzi ktoś inny prócz naczalstwa?

– Wszystko się wytłumaczy, wszystko!

La vida es sueño. Jest równie księżycowa noc jak wtedy, gdyś przy monopolu zabijał straż.

*Petre – Petre... tu es Petra... sto ad portam tuam et clamo: eritis sicut Lucifer!
ut non dicas: eheu! ab ligno szubienicy!*

Pecuniae mogą wiele... pomyśl, że główny winowajca siedzi obecnie w Paryżu, bo piękne siostry jego rzuciły sumami. Ma się rozumieć, bogata rodzina. Twoja matka jest wszakże nędzarką? Widziałeś tych olbrzymów – chłopów i robotników, którzy przechodzili przez kancelarię – tym, gdyby ktoś tylko dostarczył pilnika, oni sami wydarliby kraty i zesłi po sznurach z bielizny i bałachona na wolność... Nie mają bogatych lub pięknych sióstr...

Partia?... wszędzie biedny zginąć musi.

Partia jest jak owa matka obca na sądzie Salomona: woli, żeby dziecko było rozdarte, niż żeby miało się ostać i służyć stronie przeciwnej...

Partia słabo ratuje... i to zniechęca.

Te olbrzymy chłopcy jutro o świcie wszyscy będą wisieć.

Prawda, panie starszy dozorca?

Więc my ujrzymy się aż w dyscyplinarnym. Ha ha! życie nie jest igraszka fal Böcklina... W mordę kują śmierzdzącymi łapami... wtedy zrozumiesz, że człowiek ze swoją pozorną głębią – jest to kupa narządów, które chcą żreć i wyją, gdy je kopać w brzuch między *Mons Veneris* i splotem słonecznym. *Ecoutez encore: ainsi que je suis Kondor – votre soeur sera ma Vierge au beau sein que je suis!* jak ta w Saragossie Madonna!... Nie pójde za przykładem Oryginesa *qui se castravit propter regnum coelorum*. Cóż dopiero miałbym kastrować się *propter regnum socialistorum!* Ha ha! powiem ci jeszcze według piosenki gerylasów hiszpańskich:

Si me cogen – me horqueran,

Pero no me cogeran!

Jeśli mnie złapią – mnie powieszą –

Ale mnie nie złapią!...

Zatrzasnęły się żelazne dźwierze.

– Więźniowi – wyrzekł głośno, ale już za drzwiami do nadzorców – proszę dostarczyć atramentu, pióra i listowego papieru. Ma złożyć list na me rękę.

– Won – rzucił mu zza drzwi Piotr.

*

*

*

Stało się w następstwie, jak przewidział Kondor. Po bezowocnej macani nie śledczej i wędrowaniu z więzienia do więzienia – wreszcie za tępy upór i nieprzyznawanie się zaliczony został Piotr na czas nieograniczony między niepoprawnych w więzieniu dyscyplinarnym miasta X.

Jechał tam Piotr, wiedząc, iż to są już jego ostatnie godziny.

Tam spotka mężnie z góry wiadome losy w postaci uśmiechniętych zeznających Kondora. Jechał szlakiem pradziadów, którzy w kibitkach lub etapem pieszym wyruszali tysiące wiorst od swego kraju aż po zorze borealne wśród martwych tajg Kołomy i Jeniseju... Zaczawszy od biskupa Sołtyka, który był rażony obłędem, od generała Kopcia, Rufina Piotrowskiego i księdza Sierocińskiego, aż do paruset tysięcy powstańców i również paruset tysięcy późniejszego ludu...

Sybir, kiedy już przestanie być krajem dla różnorakiego motłochu, szukającego „nażywy” – stanie się zarówno dla Rosji jak dla Polski Hakeldamą... rolą krwi...



II. MALEFICIUM BENEFICII

Wjeżdżali do wsi Zakliszczyków, gdzie rzeka Prypeć rozlewa siedmiu korytami; siedem mostów wysokich wznosi się tam nowo zbudowanych.

Z powodu, że nie dosypane tereny osunęły się, mosty sterczą na łokieć od ziemi, w tych nasypach zaś tworzą się wilcze doły. Co gorsza, belki na moście, zakupione w dostawie przez podriadczyków, zgniły haniebnie, świecą dziurami aż w głąb ku wodzie. Biada temu, kto jedzie nawet dniem po chwiejących się dylach: konie chrapią i tłoczą się na siebie, cofając wzrok swój od dziko szumiącej rzeki, kopytami zapadają między osuwające się belki, których jeden koniec, gdy zniecka podważy się – koń w śmiertelnym popłochu targnie uprzężą, zrywając, gdy słabsza...

Są to mosty, myślał Piotr, na których inżynierowie „Argonauci” – tak wielbieni i słusznie, jako idea, przez zacne powieściopisarki – zarabiali na każdym po dziesięć tysięcy rubli.

Każdy z tych mostów jest ze swą specjalną sztuczką – ten łamie koła, ów płozy od sań, tamten okulawia konie, inny grozi zawaleniem się całkowitym.

Ale za to, kiedy ktoś przejedzie wszystkie mosty szczęśliwie – jaką radość poczuje we wnętrzu, jak mu się świat rozjaśni, jak chętnie wtedy ucałowałby inżyniera i wypił z nim *Haf an hafu* za świetnie udane podriady, na których zarobili Polacy wspólnie z Rosjanami i Żydami! Wielka machina państwowa wszystko zniesie – i kto by tam zaglądał, na jakim żywym bruku pędzą nasze gumy lub petersburskie kłusaki?!

Potem inżynier urządzi sobie pałace, gustowne, jak stajnie dla słońów; złowi żonę jak malowanie, nastawi posągów tandetnych a drogich, przedstawiających nagie primadonny... kilka obrazów, gdzie pstrykanina własna będzie sąsiadowała z przypadkowo według ceny wysokiej zakupionym arcydziełem Chełmońskiego lub Maneta – portretem żony, malowanej przez jednego z milusich faworytów naszych Zachęt – przy wyuzdanych kiczach malarzy Moulin Rouge’u.

Znaj naszych!...

– Pojeżdżaj! – krzyknął zniecierpliwiony ostrymi ukąsami śniegu stary żandarm do wlokącego się już od kwadransa woźnicy.

Konie zarwały, zamamlały w śnieżnej mazi kopytami.

Szaleje zadymka, iście mrok piekła, nie nocy wigilijnej!

Wspomnienie: – jarzy mnóstwem ogni i pozłot, wyniosły aż pod sufit,
świerk – domownicy wraz z Piotrusiem małym nucą wzruszającą kolędę:

– Bóg się rodzi, moc truchleje –
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje,
Ma granice – nieskończony! –

Na tej zwrotce urwało się dzieciństwo i nasz więzień uczuł się wyrzuconym w powietrze.

Ale co jest niemiłe filistrom, bywa wymarzoną gratką dla więźnia.

I kto wie, mości mostów inżynierze, czy nie Opatrzność wiodła twymi pozornie chciwymi obliczeniami – aby oto więzień uczuł się wolnym!...

Na pół zdrzemnięty, zdążył tylko machinalnie za coś uchwycić – i już całym ciałem zawisnął nad wezbraną, krami szumiącą rzeką. Trzymając dyl, myślami przecierając oczy, usłyszał już tylko odległy krzyk żandarmów:

– Łowi, łowi! –

Chlastał bicz dalekie konie, kopyta ich zabębniły raz jeszcze na ostatnim moście – i – pisz waćpan na Berdyczów!

Położenie Piotra stało się niezwykle interesujące: niby gracz w Monte Karlo, odgadujący cyfrę, która mu przyniesie złota wór czy kulę zapędzi do mózgu, podobnie rozmyślał Piotr: utonąć w rzece wolnym, puściwszy żerdź z ręki – czy być nadal Prometeuszem, Absolutem, Królem Stworzenia – aż do stryczka?

Lichym był żołnierz napoleoński, który nie nosił w tornistrze marszałkowskiej buławy...

Lichym jest człowiek, który, modląc się długo i zbożnie przed Losem – nie spróbuje jednak w pewnej wybranej chwili uczyć się go pięścią na odlew!

Te czy inne argumenty lub może po prostu potężne „nieświadome” młodzieńczego organizmu rozstrzygnęło z jurnością nie filozoficzną, ale prastarą małpią...

„Naukowo” wejrząwszy w nasze pochodzenie, widzimy nie Melchizedecha z jego bezkrwawą ofiarą, ale małpy ogoniaste Świata Nowego lub małpy bezogoniaste Świata Starego – a między tą wielką rodziną – skaczącego z maczugą *Homosimiusa*...

Wola „nieświadomie małpiego” przy pomocy wszystkich mięśni krzyża, brzucha, ramion i łędźwi – czy według Piotra: wola nieświadomego już bohaterstwa z czasów Ramajany – przy pomocy żelaznego spokoju, stanowczości i rozwagi – kazała podciągnąć się, rzutem nogi prawej zarzucić stopę w otwór między warstwami dylów i –

Uczyniła ta moc to wszystko świetnie, ale niestety – Piotr uczył gorąco nie tylko od wzruszenia, gdyż stał na moście z wykręconą nogą, nie mogąc jej wydobyć. Śnieżne wysokie brzegi jaru – zdały mu się mózgiem, po którym ściekały krwawe błyskawice.

Kra w czarnych odmętach zmieszała się mu z kaszą w oczach.

„Byłoby tak lekko, lekko” – gdyby nie straszliwy ból. Wydobył wreszcie stopę. Czołgał się na rękach, skakał na jednej nodze, biegł tak dość długo w stronę przeciwną niż zniknęli żandarmi.

Ale nagle zrobiło się mu bardzo dziwno. W oczach migał mu podługowaty szerniały śnieg niby kopeć z rozkręconej lampy – migał, sypał się w wór bez dna.

W okolicach przepony poczuł duszność i słodkawe ciągoty.

Mdlał.

Zbudził się na śniegu przydrożnym wśród zasy; powstał, uczył znowu w piersiach gorzkość, brak tchu, szybko łykał śnieg, aby nie zemdlec raz drugi – mówił sobie coś w rodzaju:

– Na bębnie w czasie bitwy wyliczał Napoleon najbardziej miażdżący atak – Piotrze, nie bądź łotrem – ugryź rękę – aby nie zemdlec – żandarmi wrócą –

Ha – ha – zrozumiej, człowiek ze swymi pozornymi głębiami jest to kupa narządów – zaczął brzmieć dziwnie ckliwo głos cichutki Kogoś Czarnego.

Mroki nasunęły się, pełzną w przepaść z przerażającą szybkością – osunął się za nimi – wola została daleko – zjeżdżaj, kiedy wiezie najgłupszy mus!

Zemdlał tym razem na długo.

Lecz nie było to zemdlenie bezświadome.

Nie mając poczucia już swej osoby, doznawał, albo raczej coś w nim doznawało, świadomości szerokiej jak cała ziemia polska.

Bolesne przeżycia zaostrzały się w ton proroczy i wizyjny.

Widział na olbrzymim dworcu emigrantów, każdy walczy o dobro tylko swych tobołków i walizek, każdy dba tylko o ten łyk gorącej herbaty lub filiżankę bulionu dla dziecka, każdy patrzy wrogo na sąsiada, czy ten mu nie zapuści ręki do pałta.

Rządzi tą już bezdomną gromadą, tym tłumem wielkiego narodu emigrantów – gwizd lokomotywy, brzęk dzwonka – nie ma zaś już polskiej duszy zbiorowej, polskiego zbiorowego sumienia!...

I widział jakby za przezroczystą szybą szantaże w polityce i w literaturze, w krytyce i w zarządzie magistrackim – kto upomni się, kto osądzi – kto wyda straszny wyrok opinii? gdzie są Rejtany? Widział zupełne rozkręcenie śruby okrętu ziemnego: setki tysięcy, które giną od błota i mrozu lub od dżumy w Mandżurii, z tą obojętnością u jednych na śmierć, która cechuje buddystów, z tą żądzą u innych zarobienia dwudziestu pięciu tysięcy płacy lekarskiej na dżumie... przeciw której nie ma środka i nie robiono też nic...

Słucha Piotr – i nawet nie oponuje kapitaliście, który tyjąc na skupionej krwi swej renty, narzekał na rewolucję, że tak wszystko popsuka...

Dobrze pocziwcowi – żona mu podaje wieczrę wykwintną z kwiatami, na mieście czeka niedawno zgodzona po dyrektorze teatru utrzymanka albo do wyboru bridż z przedstawicielami prasy... Można też zajechać powozem do klubu i omówić kwestię zakupu akcji od chwiejącej się cukrowni.– Taki pan Groszower nie spotka Piotra na raucie i nie obrazi się z powodu niewinnej ironii jego zapytania: któż rządzi nareszcie światem: Chrystus? więc czemu nie dzielimy się jeden z drugim przy wielkim wigilijnym stole świata? – lub jeśli nie Chrystus – a! to znów co innego – panie Groszower, przecież zrozumiej, żeś tylko pijawką i wszą społeczną, nie ewolucją naszej polskiej ziemi... że trzeba cię zmiażdżyć tarczami tak, jak rozmiażdżyli Salomę żołnierze rzymscy – niby z gniazda chuci wyrosłe nassane krwią zielsko!...

I obojętne to, czy imię tego zielska Groszower, czy książe Gwido Trykalski...

– Sędziami wtedy będziem my! –

Kto my? czern złotrowana, nieistniejący cnotliwy lud Russa i Machajskiego?

I zmroczył się Piotr jak lampa przykręcona – rozumiał, że nie ma wyjścia dla świata, który zaparł się wiodących wzwyż pierwiastków ducha – i nie uznaje już ludzkości za wielką rodzinę, której nie lża budować wieży Babel gwoli morderstw wyfraczonych maklerów politycznych na kongresach.

– Nie zabijaj! – mówił niegdyś Bóg ze Synaju, z góry Tabor, spod świętej Figi Indyjskiej – lub ustami Chelczyckiego, Skargi, Mickiewicza!...

– Nie poniżaj! – mówił najświatłańszy Intuicjonista, ukrzyżowany, jak nie-toperz, na bramach ciemnoty.

Kain zabił tylko brata...

Kainy współczesne zabijają dusze, a my uśmiechamy się z obojętnością chińskich marionetek.

Widział Piotr Kaina, który nie biega już z maczugą, ma dobrze leżący tużurek, robi interesa na wszystkim, wybiera z menu świata najlepsze potrawy, zna się na kobietach, proteguje sympatyczne mu talenty –

i – uznaje jakąś powolną, niezależną od woli ewolucję.

Oto nawet wchodzi do kościoła, gdyż jest tam uroczyste nabożeństwo za uznaną narodową chwałę – nieszkodliwą już, bo z ducha pogrobowego usunięto wszystkie pierwiastki, które od ludzi żądają bohaterstwa, mocy twórczej i zaparcia się.

Wzniosło się olbrzymie, jak synagoga diabła Hapuna, bagno dusz – zbluzganą jest nawet spowiedź, bo Ktoś Ciemny siedzi w konfesjonale... Nagle zaczęto kamienować Piotra, przeklinając Matkę, która go wychowała na Mickiewicza „Dziadach”.

Wali się w otchłań, skąd już nie ma wyjścia... Czarno ohydnie... rozdeptano mu jego gwiazdy – boleść najgorsza, najtępsza, że się jest robakiem ziemi.

Si me cogen – me horqueran...

Mroczno... okropna wilgoć... rozdeptali!...

Pełne oczy, pełne usta infernalnej wilgoci...

Zabiwszy, tłumy odwróciły się od niego.

I wtedy rozpoczęła się dzika karuzel wszystkich kabaretów – tłumy szły na Wawel, aby go zburzyć i nie zostawić kamienia na kamieniu.

Nagle ze zdumieniem ujrzał tych, którzy są *Wrotnymi Bram Wysokich* – i czuwając, czują...



III. DALSZY CIĄG MALEFICJÓW

Tymczasem zaskrzybiały sanie na śniegu, uczył Piotr, że mu ktoś głowę podnosi i znów zdało się, że jedzie w cichym przestworzu, słuchając miłego skrzypienia studni zwanej żurawiem – widział, niby na obrazie Malczewskiego, dziwną kobietę o szatach spłowiałych dawnych królewskich, która nabiera wody z cembrowiny i podaje mu.

On zaś, wygnaniec sybirski – jeszcze z konfederatów – idzie ku niej, w oczach ma łez pełno – –

coraz jaśniej, coraz większe świty –
aż luna bije mu w oczy.

Wtem widzi potworne węzowe kręgi na wodzie – – studnia życia okazuje się zatruta...

Rozwarł oczy:

widzi pochodnię, którą ktoś zapalił na dworze i która buchnęła w mrok nocy –

pocziwa twarz Litwina w czapie giedyminowej nachyla się nad nim – i bardzo realnie do niego mówi... żandarm.

Nie zdziwił się, bo jakież mogą być mistyczne światy polskie bez tych sinych mundurów?

poznaje starego Iljicza –

nie, czy to nie za wiele podobieństwa na wizję?

Piotr przymyka oczy, starając się zmienić bieg widzeń, lecz oto dyszkant mówiącego Litwina naraz zamroził mu krew w żyłach:

miłosierny samarytanin przywiódł go do karczmy na opatrzenie!!

Piotr zerwał się z siedzenia: sanie rządowe stały przed karczmą, zaś żandarmi, wdzierając się w gęstwinę za uchem, niby eksploratorzy Afryki w tajemno-dziewicze lasy Gabunu – zmienili fizjonomie sponurzałe na słoneczną radość tego oracza, który śpiewa u Kolcowa:

„Nu, taszczyasia siwka!”

– Sława Bohu, nu, i stiepiennoj że wy czelowiek – pochlebiał stary Fiodor Iljicz – sami znajecie gosudarstwiennoję naczało! – mówiąc to, pomagał mu ze sań chłopskich wyjść.

Piotr zeszedł z twarzą tak zlodowaciałą i straszłą, że nareszcie nawet Litwin coś niecoś zrozumiał i, nie czekając podziękowań ani indagacji, machnął konie batem i zwiął w ciemność.

Wkroczyli do karczmy. Piotr uczył chęć rozmiżdżenia głowy o węgiel pieca; ale stary wachmistrz ostrożnie, lecz silnie trzymał go pod rękę, gotów mu sekundować nawet w razie, gdyby czeluść ziemna rozwarła się i miała ich obu wciągnąć w swój nurt piekielny!...

Nie puściłby go nawet na rozkaz Aniołów, mówiących doń:

– Iljicz, stary raskolnik! nu i gdzie to widziane i gdzie to pisane, żeby apostoły Jezusa szablą dzwoniłi? nu i poszedłby ty przed świtem na łąki zielone – na łąki duchowne – między starców, wierygi noszących...

Nie posłuchałby Iljicz!...

Trzeźwym aż do czertikow jest umysł Wielkorosjanina, nawet gdy zabrnije we wszelkie bizantyjskie nieprzełazy.

I oto usadził Piotra w pokoju gościnnym na burym perkalowym twardym meblu, mogącym służyć do łamania kości w czasach bardziej szczerych, lecz w dzisiejszej cywilizacji alegoryzującym ze strychu wyrzuconą dworską kanapę.

Zaczął Iljicz po polsku opowiadać, idąc za biegiem swych myśli:

– A to jechał ja z takim, jak wy, katorżnym przez Sibir.

Generała spotykamy, siedział na ganeczku, kurzył.

Kiwnął na więźnia, gadać z nim zaczął.

Gadali – gadali – a rozhovor zaciąga się.

– Wasze Priewoschoditelstwo, mówię, trzeba mi więźnia wieźć! –

Ach, ty Boże mój, jak zacznie generał rugatsia!... kłął mnie, ponieważ... Nie obyło się bez takich synów – i piekłem wiecznym gorejącym mi groził... i żółtogłazym abzywał, co zwierch wątpienia najgorsze.

– Słuszaju – powtarzam tylko, ręce po szwam...

– A wiesz ty, mówi, że może to jaki święty, którego ty – nieucz, ćma ziemi żółtogłazaja, wieziesz –

– Słuszaju – mówię. Tylko Wasze Prewoschoditelstwo pozwoli mi swej familii dowiedzieć się – zapisać ją potrzeba w książeczkę, aby donieść po naczałstwu.

Dał mi swą familię i plunął.

I zapisałem także plunięcie to.

Jak potem zrobili z generałem, nie moje dzieło!...

Przemarzył więzień czy tylko ze wzruszenia drżał, dość, że nie czekając jego życzeń, Iljicz huknął na Żyda:

– Samowar! ili ja tiebia... żółtogłazaja nieucz!...

Nie złym, a nawet poniekąd dobrym człowiekiem był Iljicz, bo zauważywszy, że więzień z trudem stawiał nogę, próbował mu zdjąć walonki. Piotr uczył piekielny ból, lecz aby go nie zdradzać – rzekł, łagodnie odpychając Iljicza:

– Nic, Fiodor Iljicz, nic...

Wnet głowę położył na stole i wyc poczał.

Wył, jak potępiency wyją, kiedy po dziesięciu milionach lat rozwarły się bramy na wszystkie Dionizyjskie dale, z górami, gdzie szybują orły, z łąkami, gdzie pędzą – ogon rozwiawszy na wiatr, kare i tarantowate centaury – –

Nagle z jaszczurczą chytrą siłą bramy się zawarły. Została na wieki nuda formuły więziennej, tępość murów. Mrok – brama z ołowiu, na której można tępic bezsilne pazury furii...

Wył – daremno siląc się poskromić ten nieznany w sobie głos, ten głos, którego tak lękał się u innych w ciszy nocnej więzienia, głos, który znamionował zwykle pierwszy atak obłędu...

Piotr gryzł rękę pod przegubem, aby się uspokoić. Iljicza, który chciał go powstrzymać, pchnął nagle tak, że mocny, wielki żandarm z pokładzi brodą aż dechu nie mógł chwycić pod przeciwną ścianą.

Wył jeszcze, ale już chrapliwie, zębami gryźć zaczął stół i, nieokiełznany w rozpacz, uderzeniem pięści złamał blat stołu – zaśmiał się dziko i, zerwawszy ze siebie rzemień od spodni, zaczął skręcać pętlę.

Wściekła natura tabunowca zbudziła się w nim, nie wiadomo z jakiego pradziada dusza nieokiełznana.

Spoglądał błędnym wzrokiem Iljicz, nie śmiać przystąpić – taka olbrzymia fala magnetyzmu biła od więźnia!

Ale on, owijając sznur na szyi, przypadkowo wziął w rękę medalion z fotografią grobu dziada, Matka mu włożyła ten medalion szczerozłoty, za pieniądze oszczędzone nabyty...

I zrozumiał, że to jest złota łza Matki, która nie lękała się syna stracić: lękała się – żeby syn nie okazał się mniej mężnym od innych.

W jednej chwili opamiętał się.

Wolności? i cóż – nie ma jej...

– Kto zwycięży – wolnym będzie, a kto umarł – wolnym już!... z dawnej Piosenki Listopadowej przyśpiewywał – i dodał jeszcze słowami naigrawającymi Kondora:

– *Petre, Petre, tu es Petra!*...

– Dajcie samowar, Iljiczu! – zawołał już zupełnie opanowanym głosem – i nie mówmy więcej. –

Rozradował się Iljicz, wybiegł – lecz przed wybiegnięciem zbadał jeszcze, czy nie ma wyjścia innego z pokoju.

Źle obejrzał: rozchyliła się tapeta i z kąta, gdzie słyhać było mamrotanie Talmudu, nieśmiało wysunęła się słuszna, średniej tuszy, o dość zacnej twarzy Żydówka – z peruką na głowie, w czepcu rudym ze wstążkami fioletowymi.

Wejrzała z pokiwaniem głowy na Piotra, który siedział cicho i tylko na zgiętej dłoni wybębniał palcami drugiej ręki coś w rodzaju tańca karłów i duchów leśnych, które opadły Peer Gynta...

– Niech osoba szanowna nie boi sobie Newachowej! mnie tu w całe okolicy, Bogu dziękować, nie boi się nikto. Pan jest student – a? i jeszcze nieżeniasty? – Dzieciów też nie ma? musi mieć dzieciów, bo tylko za dzieciów tak się krzycy...

Kto widział – zaczęła znowu – żeby takie drogie było ze siedym mostów... Dawniej, chwalić Boga, przejeżdżało się na promach i w bród... i źle nie było... niech Pan Bóg zachowa...

W karczmie zresztą można było wischnąć, można zjeść było wieczerzę.

Teraz też można!

Może wielmożny socjalista ma przy sobie taki psirząd do wibuchu? trzeba ostrożnie i, broń Boże, nie tu... mój mąż taki delikatny, wun stary je...

Może sznapsiku? ja mam takie jamajkę, co to... (tu zniżyła głos)

przez Ejdkun śwarcowana...

Może by dla kogo potrza jakie pismo doręczyć? tu jeden obiwatel miał też kłopot o syna... sam umarł ze zgryzotów, żona jego też martwą zostanie!...

–

Usłyszawszy kroki wachmistrza, wsunęła się znowu za coś niewiadomego, co było tak brudne, że aż podobne do czarnej tapety, i tak odarte, że robiło wrażenie firanki.

Wachmistrz wniósł nieszumiący jeszcze samowar.

Dla pośpiechu zaczął go rozdymać butem, który widać wziął od młodszego żandarma.

Kłęby popiołu, jak z wulkanu Krakatau, napęłniły powietrze, płuca i nos, lecz na szczęście nie dostały się do zamkniętych oczu Piotra.

Zresztą, nic już go nie obchodziło...

Nieraz miał zwyczaj i w więzieniu wyobrażać, że świata nie ma – tylko wielki Atman, muszla złota wśród Nirwany – a przy każdym rozchyleniu jej konchy – mijają manwantary.

Pył opadł na ziemię, herbata zaparzona. Iljicz pokiwał głową, spróbował miękko zaalarmować Piotra, że „czaj styniet” – lecz ten był nieczuły na wszystkie majaki, które sen zakłócają Atmanowi...

Iljicz zniknął. Trwało milczenie.

Wtem Piotr, ujrzawszy Newachową, wysuwającą się z kandelabrem, ale już przez drzwi –

nie wiadomo czemu, parsknął śmiechem.

Może to blask jedynej szabasówki w miedzianym lichtarzu, przedstawiającym węża z dwunastu głowami, czyhającymi na Ewę...

Może uroczysta mina Newachowej, która przeszła, dygocąc, przez izbę, gdzie już wydmuchiwali gorący czaj na spodeczkach żandarmi –

może wreszcie roześmiał się tak, jak na pogrzebie czasem śmieje się neurastenik, wstrzyknąwszy sobie za dużo morfiny – dość, że radość Piotra okazała się teraz niezupełnie na miejscu, bo Newachowa miała twarz wprost tragiczną.

Lichtarz poza samowarem stawiając, podała mu cukier i pęk obwarzanków; zza piersi wydobyła gabinetową fotografię.

– Trzy syny moje – i nie żyją już! –

W głosie jej taki brzmiał tragizm, że zamiast Żydówki w karczmie była tu Niobe przed świątynią, płacząca syna, zrodzonego w uścisku z piorunowładnym... Newachowa zatrzęsała się. Wzrok jej skupił się w sobie.

– Wuni byli robotnicy na fabryce.

Jak przyszli te wolnościowe dni, to wzięli obuch rozstrzelić. Widziałam ich przez kraty do pożegnania: to mi oba pokazywali z płakaniem piersi czarne, krwawiaste i ręce bez paznogciów. I wszystkie państwo w mieście wzięli mnie do swe pokoje – aj – co to za bogactwa – same szafy z liustrami – i mnie sadzali na pierwszych miejsc i słuchali, jak to oni nie mieli paznogczy na rękach... A takie bogate państwo – – A ten trzeci syn, wun był w Ameryce, pan musiał czytać? jego wsiscy wiedzieli.

Pisał romany i wystawiał na teater w Hicago.

Szukałam cukier i znalazłam go w komodzie.

Jak żywy! taki piękny! co? nie było takiego drugiego na cały świat!

Miał dom w Hicago i powóz miał. Tu jego żona – też jak maljowana – ona z ruskich Żydów!...

Wejrzał Piotr jednym okiem na dystyngowaną lady obok niemilego Semity. Nadpis na fotografii wzruszył go jednak:

– *To my dear mother* – Mojij Kochany Mami Synek, Mister Sam Neva-cho.–

– Co un napisał, tego wiślucać musieli: ma być wojna, biła wojna!

Wun napisał: w Kiszyniowie biją Żydków, to zaraz prezydent przyjechał do Europe na okręt.

Wun to miał także z żoną przyjechać i miał nam wymurować kamieniec na sześć piętrów – tu – właśnie że tu! w Zakliszczykach...

Może podać obwarzanki? –

Wobec milczenia oparła się o ścianę.

Samowar kipiał.

Piotr znalazł w tym dźwięku tyle rzewnej czułości, tyle pogodnego zręczenia, tyle zapału starców, dawnych wojowników – że mimo woli zajrzał pod samowar i ujrzał złote serce, przeblaskujące w dole przez otworki miedzi.

Wtem okropny żal za Matką własną odrętwił go. Widzi: patrzy w niego, oddzielona kratami podwójnymi, więźnie i ich rodziny przekrzyczeć się usiłują – ona milczy – i on milczał...

I tyle wypowiedzieli sobie tym strasznym milczeniem!

Ona uśmiecha się, prawie piękna – podała mu kwiaty, starając się, aby żandarm ich nie dotknął... tylko syn z jej rąk...

– Bezgranicznie droga Mamusiu – mówił do wizji: – czuję, że nie odpędzasz Ty swych czarnych myśli od mojej, jakoby okropnej doli.

Ja cierpię tylko wtedy, gdy Wy tam, najdrożsi, szczególniejadacie... Może to przeczuwam?

W jeden przesłiczny poranek, jak mówi się w powieści, ocknę się między Wami...

I cóż, że mnie wysyłają kędyś dalej?...

Przestrzeń się powiększy, ale to nic nie znaczy, bo duszą i sercem jam zawsze z Wami.

Przecież moja najdroższa Mateczka jest wierzącą i wyznaje, że Bóg jest najsprawiedliwszą istotą... I gdy wypadnie umrzeć, nawet z daleka od Was, to i wtedy rozpaczać nie będziemy.

Strumieniu ty, rzeko polskich łez... kiedyż ty przepłyniesz piachy i niwy – kiedyż Wisłą wezbraną wpłyniesz do Morza Wyrównanych Krzywd – olbrzymią wieszczą falą runiesz na koralowe skały Wysp Wniebowziętych – ?

W radości bezmiernej swobody kiedyż zapomnisz, że tak cierpiało twe serce, przeglądając się w miedzianym samowarze w żydowskiej karczmie?!...

– Pan nie pójdzie obejrzyć kościół? tu jest ksiądz uczony człowiek, ale ma trochę tu! – I uderzyła się w czoło.

– Wun zna całego ziemnego szaru... ale... jest trochę wyklęty przez swojego naczelnika, takiego biskupa, co to szedzi w Zimie. –

Za ścianą głos modlącego się talmudysty przygłuszył jej słowa.

– Mój mąż już trzeci miesiąc tak modli się za duszę syna... ja miałam sen, że syn miał jeden wielki grzech na sumieniu... że wun już nie chciał być polskim Żydem, tylko się nazwał Mister Sam... –

Piotr podszedł do Newachowej, wziął ją za rękę i długo patrzył w jej biedne wyplakane oczy.

– Życzę, aby pani spotkała wszystkich swoich trzech synów – w niebie. Polska nie jest jeszcze żebraczką, żeby trzeba odwagi przyznać się do niej – ale tu na kresach, to coś warte! moja Matka jest też sama – a ból ludzki wszędzie jednaki...

Newachowa ocierała łzy...

– Niech pani poprosi męża, żeby przeczytał werset w Kabale o Bezalielu... który był budowniczym i chciał postawić świątynię na górze, aby zeszyły się wszystkie narody. W księdze II tak zwanej Mojżesza jest też o nim.

– Wszystkie narody – rzekła Newachowa – ja to rozumiem. –

Wyszła, schyliwszy głowę i kiwając tak pojętnie, jakby Bezaliel był jej synem.



IV. KTÓŻ TEN ZNÓW?

Piotr, już uspokojony zupełnie, nalał herbaty i wrzuciwszy cukier, patrzył: maleńkie pęcherzyki powietrza wypływały z dna na powierzchnię. Uwolniły się z białej kamiennej niewoli – któż je teraz ujmie? wypłyną wolne z dna na powierzchnię przez drzwi otwarte, przez szpary podłej chałupy wzlecą ku obłokom – aż tam ku Ajterom Szelleja i Słowackiego gwiazdom... „zimnym, świata szatanom”...

Wiatr wionął, zatargał płomieniem...

Mysząc, że wszedł talmudysta z werselem o Bezalielu, Piotr nie odwrócił głowy.

Mrok zasłaniał zresztą grubym kirem połowę izby, gdyż oszczędna Newachowa, wniósłszy szabasówkę, wyniosła lampę...

Zza samowaru mdłym blaskiem światełko jaśniło zaledwie stół ze szklanką herbaty i obwarzankami.

– Dobry wieczór wigilijny panu podróżnemu – zabrzmiał głos szczególnie mocodawczy mimo spokojnej treści...

Więzień wpatrzył się w ciemność, mając wrażenie, że tam z murów pieca wyszedł jakiś Arianin dawny.

– Hm... – ozwał się ten ktoś.

Piotr ujął lichtarz i podniósł do góry.

Ale zaraz postawił, sam natomiast powstał.

Było coś jakby ze „Sądu Ostatecznego” Michała Anioła w tej czaszce z głębokimi cieniami.

Na wygolonej twarzy starca świeciły ametystowe oczy, wcale nie księżę, ale srogie, jasnowidzące, niby u człowieka, który spędził kilka zim pod biegunem, zanim go *odkrył*.

Twarz uderzała nadmiarem treści duchowej, wydawała się monstrualna ze swą kopułą wielką czoła i rozwianymi włosami, z cięciem przez twarz, które zmiażdżyło dolny kawałek czoła i przegubie nosa, – takie lico w snach swych obchodził dokoła Rembrandt, lecz nie ujął nigdy!

Ustami szerokimi, jak u fauna, puszczał kłęby dymu z fajki.

Sutanna mocno zrudziała okryta z wierzchu niewyprawnym kożuchem chłopskim, długim prawie do kolan.

Pod pachą dębowy kostur. Widać było, że ten człowiek nie robi sobie nic z całego świata, zawsze jest gotów – jechać w karecie poszóstnej, wybrany na papieża, czy brnąć w mazi jesiennej, między katorżnikami.

– Ksiądz jestem – wypuścił z kłębem dymu tak wielkim, jak kiedy naraz otworzą się wrota wielkiej fajczarni padyszacha, gdzie siedzi on z czterdziestu mułkami, pogrążonymi w chmurach Najwyższej Mądrości.

– Żandarm starszy dość poczciwy człowiek. Zna mnie z dawnych jeszcze lat – puścił Pana na moją porękę, żebyśmy razem spędzili Wilię.

Oni będą czuwali w dalszym pokoju. –

Piotr stał się ciemny z purpury gniewu.

Znowu pokusa? nigdy.

– Bardzo ksiądz dobrodziej jest uprzejmy.

Ale wyzwolenie na godzinę jest grzecznością diabła. Wilii nie obchodzę. Nie wierzę w opatrnościowe rządy nad światem.

– Staropolski obyczaj. A i Rzymianie wierzyli, że w tym czasie zimowego nawrotu słońca przez całe Brumalia bogowie chodzą po ziemi i że duchy obcuja z ludźmi.

– Nie jesteśmy Rzymianie.

– Pochlebiam, że jesteśmy lepsi. Z nami są wyższe duchy.

– Uczynili księża, że duchów nie ma. Monstrualna teologia odjęła światu waszemu moc twórczą, woli waszej rozpęd swobodnego działania.

Kuria rzymska robi zbyt wyraźne interesy na tęsknocie narodów za tym, czego nie daje materializm.

I dlatego mogłem szanować dawnego księdza. Dziś – jest to bigot lub szarlatan. *Tertium non datur*.

A dodam jeszcze: nie mam duszy współczesnego Polaka – ten mydłkuje wiarę, której nie ma, mydłkuje uczucie wolności, której nie potrzebuje. –

Ksiądz patrzył w niego jasnym wzrokiem.

– Znałem ludzi męźnych... umiających czcić duszę bez względu na partie – rzekł spokojnie.

Piotrowi wydał się ksiądz znanym – z jakiejś opowieści więziennej...

– Nie mieszkał ksiądz przed laty pięcioma w miasteczku Sędziwojewie – – gdzie zdarzyła się dziwna historia?

– Mieszkałem tam istotnie lat temu kilka... i cóż za dziwna historia?

– Wszakże mi opisywał ksiądz mój towarzyszu...

Zanieśli go bezprzytomnego do domu – potem wezwali mu księdza, słowem ostatnie sakramenty...

– Tak...

– Policmajster i strażnicy oblegli dom...

Trzeba było z domu wynieść... wybuchowe przyrządy. Matka mego towarzysza chciała to uczynić, ksiądz nie dał się, bo nikogo z domu nie wypuściliby bez rewizji...

Ksiądz wyszedł ze Sakramentami. Policmajster i setnicy kozaccy wobec zgromadzonego ludu nie śmieli rewidować księdza, idącego z Ciałem Chrystusowym... Między Rosjanami bywają ludzie głęboko religijni...

– Niekoniecznie ów policmajster... ten mógł być trzynastym na Wieczery... Ale setnicy zaprotestowali bezwzględnie przeciw temu, żeby ksiądz dotknąć...

– Zatem ksiądz jest jednym z naszych?

– Bynajmniej. Uczyniłem, jak należało, nic więcej.

No proszę... Dam chleba czarnego, rzodkwi i trochę wina starego, zresztą nic. –

Piotr uczuł się znowu zmrożony wyznaniem księdza, iż nie jest z „naszych”.

Podzielił bowiem świat tylko na tych, którzy walczą za Polskę lub idą przeciw Polsce.

Ale chciał to wypowiedzieć grzecznie.

– Wina nie pijam w Polsce. Tu jest tak mało ludzi wolnych... a przecież tylko wolni z wolnymi mogą pić... –

Zaśmiał się ksiądz, ale tak, że Piotra przeszył ten ostry satyryczny śmiech.

– Ano, zatem nie będzie można rzec:

Nunc est bibendum, nunc pede ligero pulsanda tellus!... Kucharka moja zgotuje żandarmom wieczerzę, a my na sucho ugadamy się.

– Przemilczymy.

– Jako wola.

– Nie zrobię kłopotu?

– Nie robi kłopotu, kto nie lęka się pokotu. U mnie spanie niewygodne, ja śpię sam już w trumnie. Ale tak czy owak – nie możesz waćpan jechać, sanie rozbite.

Posłano po cieślę, jutro o świcie pojedziecie. Więc, łaskawco, idź za mną, powtarzając z cicha:

– „Czemuż nie do mej Anieli?

żeby diabli wzięli!” –

Wziął Piotr czapkę, idąc jakby z nakazu.

Żandarmi salutowali księdzu. Wyszli razem.

Na dworze szalała zamieć.

Po kilku minutach brnięcia wśród śniegów zaszli w opłotki. Wiatr dziko trząsał gałęzmi, wygwizdywał na krzyżach cmentarza. Mroczyła tu bez-

brzeźna dzikość, ale jakąż muzyką zdała się wobec nudy rozpacznej, która od tylu lat zaścielała pajęczyną duszę więźnia?!

Wiatr ucichł – mur zakrył ich od wściekłych podmuchów.

Kościół w mroku majaczył; za węglem gwizdała zamieć; gwiazdy tańczyły na niebie obłąkanego poloneza, chmury przewalały się niby lawiny śnieżne z gór. Miejscami niebo stawało się czarne, jak wewnątrz zgasłego krateru.

Zaszczekały psy jeszcze nie spuszczone z uwięzi.

Błysły jarzenia w oknach wysoko.

Potknął się o schody Piotr, idąc za księdzem.

Mrok i stęchlizna murów.

Po schodach krętych szli – zapalka rozświecała kurytarze klasztorne żebrowane o liniach ostrołukowych, rozpostartych niby łapy pajaków zwanych kosarzami. Zapalki zgasły, nie było ich więcej. Ciemność zdwoiła się.

Strachem wiało od tych murów zamierzchłej przeszłości – zdaje się, że konała tu ona tak długo, aż nie zamarła już całkiem, jeno zmroczniała w świat niewidzialny.

– Kiedyś tu był klasztor cystersów, kwitnęła nauka i sejmiki; potem mieszkało wojsko napoleońskie... potem ruina... ja odrestaurowałem – mówił ksiądz zniżonym głosem, który dziwnie brzmiał wśród brzęku żandarmskich ostróg i ciężkich stąpań.

Na oścież otwarły się drzwi, jasność ich ogarnęła, wywołując silniejsze oddechy serca.

– Otóż u celu. Kto się w opiekę odda Panu swemu, ten na smokach jeździć będzie.

– Raczej tego smoki same powiozą – odparł z ironią Piotr.

Tajony gniew przeciw losom świata ucichł w nim jednak. Żandarmi odeszli, rozdzielwszy się tak, że jeden zajął izbę wchodową, drugi zaś pokój od wyjścia kuchennego. Zostawili swobodnym cały środek mieszkania.

Nie było słyhać ich kroków, grube mury oddzieliły – i Piotr wchłaniał w siebie widok nadzwyczajności, które mówiły doń niby kazanie Skargi.



V. WTAJEMNICZENIA MITRY

Tajemniczo boskim ekstatycznym jest wpływ ognia, buchającego z olchowych szczap na kominku!

Budzi się dawny Aryjczyk czy Sumeryjczyk, uginają się kolana przed bogiem ognia, który żywie w nas.

Najstarsza i najgłębsza msza, jaką odprawiał człowiek! magnetyzm rozlewający się po jestestwie naszym z tej Ofiary i Przemienienia – wprowadza nastrój świętości.

Komnata, w której był Piotr, składała się z kilku cel, w których usunięto ściany przedzielające; na suficie widać było jeszcze wręgi nieistniejących już murowanych ścian. Okna gotyckie – z witrażami, niektóre zakryte kotarą.

Mnóstwo ksiąg na półkach, ciągnących się wzdłuż wszystkich ścian – od podłogi aż hen po sufit; stół wielki zastawiony doniczkami begonii, księgami w starych skórzanych *in foliach*, tudzież cały warsztat pracy: rękopisy, nożyki pióra gęsie i nowoczesne; ustawione chemikalia różne, retorty, lampki.

Zwieszały się ze ścian mchy podbiegunowe, nadzwyczajnym szatańskim rysunkiem straszły skóry boów jawajskich, maski z Kambodża, Peru i Maori, tkaniny malowane, krisze zatrute, chińskie miecze katowskie. Zapalił mu ksiądz światło acetylenowe, zajrzał Piotr przez tubę mikroskopu i ujrzał precudny rysunek tkanki. Ksiądz zajmował się badaniem choroby raka. Znać było tu wszędzie demonizm życia, oczy rozwarte na niezgłębiającą otchłań, upodobanie w niebezpieczeństwach. Napisy przy skórach zwierząt głośiły, że były zdobyte przy odparciu napastników.

Na księgach napisy, drogie uchu Polaka: Waszyngton, Irkuck, miasto Kraków. Ale były i księgi z Bombaju – i Tokio. Widać, że ksiądz mieszkał długo na wielkim świecie i mozolnie zbierał swą bibliotekę.

Biblioteka służyła głównie do badań religijnych, więc były tam dzieła o Chaldejach Smitha, Lassena Indie, Cumonta badania poganizmu, Radlińskiego i Tyrrela modernizm; byli badacze jak Jeremias, Loisy, Chwolson, byli filozofowie dawni, jak Chryzypus, Plato, Jamblichus, Heraklit, Lucjan ze Samosaty, i średniowiecze Kuzona, Mirandoli, Kopernika, całe ściany zajęte przyrodą – Bill, Darwin, Lyell, Suess, Strasburger, Kerner. Wydania świętych ksiąg Wschodu i kilkaset żywotów świętych przez bollandystów; stopy pism

*Dalsza część książki dostępna w wersji
pełnej.*

